ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Listopada Nr. 44. Roku 1843.

ISOLA DE LENAR.

(Dokończenie.)

Gdy Izola po długiéj chwili omdlenia przytomność odzyskała, powiodła w około na pół błędnem okiem, a spotkawszy się z chmurnem wejrzeniem Menarda, rzuciła się mu w ramiona i zawołała głosem boleści i radości zarazem: »Choćby mnie los najokropniejszy czekał — jam twoją — na wieki twoją!« — —

Widzimy teraz oboje przy kolébce najmłodszego dziécięcia, na którego usteczkach igra uśmiéch anielski. Biédne niemowlę nie widzi tego smutku, który ich serce zalega. Stojąc nad kolébką z wpatrzonem w niebo okiem, podają sobie dłonie jakby przy ołtarzu, a dusza ich modli się tajemnémi słowy. O, takie modły nie wracają ku ziemi i przebijają niebiosa!

Od téj chwili dusza Izoli silniejszym jeszcze płomieniem rozgorzała ku Menardowi. Chociaż często chmura smutku zasępiała jéj czoło, jednakże jakby od powiewu wiatru zdmuchniętą była, skoro miłośnie złożyła głowę na łono Menarda. Jak cień wiąże się z ciałem, tak oni byli z sobą nierozdzielni. Biurko do pisania przeniesiono z pokoju Menarda w komnaty Izoli, aby mogła się przynajmniéj pieścić widokiem swego męża, kiedy jaką pracą zajęty będzie. Również była mu towarzyszką nieodstępną w podróży, a jeźli jéj przychodziło rozstać się z nim na chwilę, towarzyszyła mu pieszo aż za bramę zamkową, a z tamtąd jeszcze daléj i znów daléj; za nim, byłaby poszła za morza, na sam koniec świata. Na te oznaki najszczérszéj miłości, patrzył ponury stryj Jan Cassandre niechętném, a nawet zawistném okiem. O przesiedleniu się z zamku ani myślał, pomimo, że mu sam Menard korzystne dzierzawy nastręczał. Nieraz zadrżała Izola przed jego tajemniczém spojrzeniem, które ją trwogą przejmowało; nieraz dał się słyszeć z takiémi wyrazy, które przestrachem ścinały krew w żyłach obojga małżonków. I tak razu jednego, gdy się go pytano, kiedy zamek opuści, odrzekł szydersko: »Dopiéroto otworzycie oczy, jeźli tu będzie musiał ktoś zamek opuścić, któremu się zachciało panować w nim na zawsze, ale ja tym wybranym nie będę.« — A drugim razem, gdy mu Izola robiła wyrzuty, że z dwójki czułych gołębi ustrzelił samca, odrzekł w odpowiedź z szatańskim uśmiechem: »Znam ja dwójkę czulszych jeszcze gołąbków, których podobny czeka rozstanek.« Na te słowa ubódł ją tak przenikliwém spojrzeniem, że pobladłszy, już blizką omdlenia była.

Pewnego dnia, gdy oboje małżonkowie z przechadzki do domu wrócili, zastają sługi urzędowe, mające od sądu rozkaz, uwięzienia Menarda: »Że sobie nieprawnie przywłaszczył nazwisko i przydomek Cassandrów de Rouillé.« — Jan Cassandre, stryj Menarda był jego oskarzycielem. Izola rzuca się w rozpaczy na szyję swego małżonka, i zalana łez strumieniem, błaga wysłanników sądu, aby jéj wolno było towarzyszyć do więzienia nieszczęśliwemu Menardowi, ale i téj łaski odmawiają jéj nielitościwie.

Jan Cassandre wyznał przed sądem, że pewien podróżny przybył niedawno w dom jego i oświadczył mu: iż Menard Cassandre de Rouillé, pod ciężką pracą jęczy w algiérskiéj niewoli, że długiem nauczony nieszczęściem, wzdycha ze łzami do swojéj rodziny, i błaga okupu na odzyskanie wol-

ności. »To zeznanie«, mówił daléj Jan Cassandre, »zwróciło moję uwagę, i lubo z niczem odprawiłem owego posła, spisałem jednakże słowa jego ze stałem postanowieniem dochodzenia prawdy. Jakoż wkrótce podejrzenie moje zaczęło się coraz bardziéj utwierdzać.« Tu przytoczył powody swego podejrzenia, jako to: że ów Menard, przeciw któremu teraz przed sądem występuje, ma bielsze i gładsze ręce niż Menard Cassandre de Rouillé, również gładszą budowę ciała, szlachetniejszą mowę, poważniejszą postawę, również w stroju jest bardziéj skromnym i więcéj smaku zachowującym. W końcu domysłów swoich przytoczył: że Menard Cassandre de Rouillé nie miał tak poprawnéj i bieglėj ręki w pisaniu, jak teraźniejszy właściciel zamku. Wszakże te płonne poniekąd domysły, łatwo dały się usunąć. Nie oddychałże Menard przez lat ośm więziennėm powietrzem? Mianož się dziwić, że cała jego istota tak znacznym uległa zmianom? Nie mógłże, w ciężkiéj doświadczenia szkole wyuczon, wejść w siebie, i tak powierzchownie jak i wewnętrznie wyszlachetnieć? Czyż należało się kłaść mu to na karb winy, iż stał się w każdéj mierze lepszym? Oprócz tego wszyscy mieszkańcy z okolicy poznawali w Menardzie dawnego właściciela zamku. Ze wszech strón spieszyli znajomi Menarda, aby dać świadectwo w jego sprawie. Z niejednym z nich rozmawiał on o spólnych zabawach dziecięcych. Jedno-oki Marcin, któremu niegdy popędliwy Menard oko kamieniem był wybił, otrzymał niedawno od teraźniejszego właściciela w nagrodę zégarek śrebrny. Nie byłożto dowodem, że dawniéj porywczy, a teraz złagodniały Menard, byli jedną i tą samą osobą? Nie brakło również na świadectwach innych osób, którzy przez przygody z lat dawniejszych zaznajomieni z Menardem, poznawali w teraźniejszym właścicielu zamku Rouillé, dawniejszego młodzieńca żartkiego umysłu. Siostry Menarda śród łez i łkania zeznawali przed sądem, że on jest ich bratem. Najwyraźniéj świadczyło nadzwyczajne podobieństwo syna, liczącego około lat trzynaście. Na domiar prawdziwości świadectw, błyszczał na ręku obżałowanego pierścień ślubny z jego i Izoli imieniem. Tak więc przyjaźń, pokrewieństwo, głos natury, wszystko stanęło za świadka, aby nieszczęśliwego Menarda uwolnić z więzów. Dwa tylko świadectwa były przeciw niemu. Szewc Menarda wyznał przed sądem, że noga oskarzonego o trzy cale jest mniejszą i węższą niż była dawniéj, co się nie zwykło zdarzać, aby noga w ośmiu latach tak znacznie zmalała. Groźniejszym zaś świadkiem była sama Izola. Jéj trwoga w czasie badań sądowych, jéj sprzeczne odpowiedzi, a nareszcie wzbranianie się złożenia przysięgi: że uwięziony Menard jest jéj prawym małżonkiem, wszystko to pogorszało sprawę nieszczęśliwego więźnia.

Sama tylko przysięga Izoli mogła zerwać kajdany Menarda. Jak cień blada, na pół martwa, deptała w niemėj boleści długie kurytarze opustoszałego zamku, nadaremne były niewinne, pustotne pieszczoty najmłodszego dziecięcia; jéj dusza nie była już tkliwą na tak lube wrażenia. A kiedy dziecię wymawiało szczebiotnie imię ojca, łzy rzucały się z jéj posępnych oczu. Siostry Menarda, znajomi i przyjaciele, używali wszelkiéj wymowy, aby swoją przysięgą otworzyła więzienie, w którém jéj małżonek niewinnie jęczy. Sami nawet sędziowie nie mogli pojąć przyczyny, dla któréj się tak długo z ostateczném rozstrzygnieniem swojego losu ociągała. Stawiono nareszcie przed nią Menarda. Izola rzuca się przed nim na kolana, zawisa mu na szyi, pieszczotną ręką głaszcze go po twarzy i urywanym śród łez mówi głosem: »Jutro będziesz wolnym, jutro przycisnę cię do mojéj piersi, jak cię w téj chwili przyciskam; twoje wilgotne, od więziennych wyziewów przesiąkłe włosy, osuszę moim oddechem, wycałuję mojémi usty; o, przebacz, że z mojéj winy otacza cię tak długo noc więzienia! — Jutro...« Tu urwała dalszą mowę, okrywając więźnia pieszczotami, jakich najszczérsza tylko miłość jest zdolna. — Całą noc przepędziła Izola w kaplicy na modlitwie przed obrazem Najświętszéj Panny Maryi, błagając Bogarodzicę o dodanie jéj sił w wykonaniu przysięgi, gdyż powołać się na świadectwo samego Boga, było dla bogobojnie wychowanéj Izoli najświętszą świętością.

Nazajutrz, nim jeszcze Izola do sądowéj sali wstąpiła, rozeszły się głuche wieści, że prawdziwy Menard Cassandre przybył z stron dalekich. Do czyichkolwiek uszu ta wieść przyszła, każdy ciskał potępienie na biednego więźnia, nazywając go oszukańcem. — Wieści te nie były płonne. Jan Cassandre posłał w samej istocie żądaną sumę na okup niewolnika w Algierze, który według podania podróżnego miał nosić nazwisko Cassandre. Jakoż przybywa ciemno ogorzały, łachmanami okryty człowiek, a wszyscy, którzy go ujrzeli, poznali w nim Menarda Cassandre, pomimo, że włos jego gdzieniegdzie posiwiały, że czoło w głębokie bruzdy poorane, świadczyło o nędzy i dawniejszém życiu rozpustném, pomimo że oko niegdyś odsłonięte i jasne, zginęło pod krzaczystémi, zwisłémi brwiami, i że chód jego stał się od kajdan ociężałym i wlékącym. Z długim kosturem w ręku, z owiniętémi w łachmany nogami, w kurcie wypłowiałéj i popsutéj długiém noszeniem, w kapeluszu czerwoną szmatą obwiniętym, ukazał się oczom stryja, sióstr, znajomych i sędziów. Chociaż w tym stroju i z tym wyrazem dzikości na twarzy był bardziéj podobny do skazańca galerów niż do dawnego właściciela zamku Rouillé, jednakże nikt nie mógł zaprzeczyć, że on jest Menardem Cassandre. Dla wyjaśnienia téj wątpliwości ostatecznie, brakowało tylko jeszcze świadectwa saméj Izoli.

Izola wchodzi do sądowéj sali z stałém postanowieniem złożenia przysięgi. Miłość uspiła wszystkie wyrzuty sumienia, miłość toczyła zaciętą walkę z obowiązkami, które prawo boskie i ludzkie uświęca, ale serce— zwyciężyło. Zajęta jedynie myślą ocalenia więźnia, podnosi już palce do przysięgi, gdy oto—jak gdyby piekło wyzionęło swoję ofiarę — ukazuje się pośród tłumu napełniającego salę, ogorzała i zarośnięta twarz Menarda, prawego jéj męża i dwojgiem ócz piekielnych, wbija w nią ostre sztylety. Izola przestrachem owładniona pada o ziemię z przerażającym wykrzykiem:

»Przebaczenia.... Łaski dla moich dzieci!«

»Wiarołomna!« wrzasnął Menard Cassandre podniosłszy w górę kostur sękaty. »Umiéraj wraz z twoim uwodzicielem.« — To mówiąc, chciał się na nią rzucić, ale tłum zebranych w sali, zhamował szalony zapęd jego. — Po téj burzliwéj scenie, wprowadzono więźnia. Z godnością i pokojem na twarzy wstąpił on w salę, lecz gdy ujrzał swego przeciwnika, którego nazwisko przybrał, bladość pokryła mu lice, konwulsyjne wstrzęsło nim drzenie.

Menard Cassandre urągając się z fałszywego Menarda, zaczął nań miotać najdotkliwsze obelgi. Gdy mu nakazano milczenie, zabrał głos obżałowany więzień temi słowy:

»Już spadła zasłona — dłużéj zaprzeczać nadaremne usiłowanie... już nie mogę więcéj zapewnić szczęścia istot dla mnie najdroższych! Posłuchajcież cierpliwie smutnéj historyi życia mojego. Nazywam się Menard, równie jak mój przeciwnik, i równie jak on noszę nazwisko Rouillé. Mój ojciec był właścicielem zamku tegoż nazwiska, który teraz w ręku rodziny Cassandre zostaje. Próżność, rozpusta, wystawne życie mego ojca, przywiodły rodzinę naszę do nędzy, ojciec Menarda Cassandre został właścicielem zamku i posiadłości naszych. Nie chcę bynajmniéj utrzymywać, aby nasz majątek niesłusznie przeszedł w jego ręce, to tylko chcę powiedzieć, że ubóstwo jest niewstrzymaném następstwem rozrzutności. Bez majątku, bez ojczystéj strzechy, bez widoków na przyszłość, ja, syn znakomitéj rodziny, musiałem się starać o utrzymanie życia, wszedłem w służbę morską.

Nim jeszcze okręt, na którym odpłynąć miałem, odbił od lądu, jakaś niepojęta tęsknota opanowała wszechwładnie moję duszę, ciągnęła mię przemocą jeszcze raz ostatni zwidzić ojczyste progi. Raz jeszcze chciałem napieścić się widokiem miejsc najdroższych sercu memu, gdzie pierwsze, dziecięce spędzałem zabawy; raz jeszcze chciałem odetchnąć powietrzem moich gór ojczystych. Udawszy się w podróż, staję u celu życzeń moich. Łza nabiegła mi do oka, gdym ujrzał wiekami zczernione wieżyce mego zamku. Zaledwie stanąłem w jego pobliżu i usiadłem na ławce ocienionéj drzewami, zjawia się anioł-dziewica, która wymawiając moje nazwisko, biegnie ku mnie i okrywa mię pieszczotami uwiedziona błędem,

że we mnie widzi swego narzeczonego. W téj chwili dopiéro zwróciłem moję uwagę na podobieństwo nadzwyczajne między mną a synem Cassandre, czemu téż może i grzéch naszych rodziców był winien po większéj części. Ujrzéć Izolę i nie kochać było niepodobieństwem. Zdawała mi się w téj chwili wyższą istotą, która z nieba ku mojéj pociesze zstąpiła. Czułem jéj bicie serca przy mojém, poiłem się ust jéj słodyczą, a jeszcze wątpiłem czy to sen czy jawa.

Po odbytéj podróży morskiéj wracam znowu i widzę ją w wieńcu ślubnym, widzę jadącą do ołtarza. Dla mnie była już straconą. Kochałem bez nadziei, ale właśnie ta miłość zajęła całą moję istotę. Obraz jéj nosiłem wyryty w mojéj piersi, on mi towarzyszył na morzu śród burzy, śród wrzącéj bitwy, po szczeblach moich marzeń mknąłem w niebo, gdzie Izola królowała, w ogniu téj miłości stopniały żużle złych narowów, dusza moja wyszlachetniała, Izola była mi gwiazdą biegunową w samotnéj drodze mego życia.—Opuściłem z zakrwawioném sercem ziemię ojczystą i niedługo potém zostałem oficerem marynarki. Już wiele czasu upływało od téj chwili, gdy trafem dostaje się w naszę niewolę Menard Cassandre. Słysząc jego nazwisko, spieszę do niego, i dowiaduję się, że on jest właścicielem zamku ojców moich i małżonkiem Izoli. Tknięty losem naszego jeńca, postanawiam wrócić go na łono mojéj ubóstwionéj kochanki. Przy brzegach francuzkich miałem mój zamiar wykonać, lecz nieszczęśliwa walka z korsarzami czyni całą osadę okrętową jeńcami. Los chciał, że gdy nas jako niewolników sprzedano, obadwaj zostaliśmy własnością jednego pana, a tak, lubo we dnie rozłączeni, w nocy mieliśmy obok siebie legowisko, razem żywiliśmy się skąpą strawą, którą nam dawano. Tu poznałem mego towarzysza, że nie był godzien ręki i serca szlachetnéj Izoli... Nieraz mawiał, że gdyby mu nawet wolno było wracać do domu, on tam nie wróci, bo żony nie kocha, a nie mając majątku, nie może takiéj jak dawniéj odgrywać roli. Nieraz dał się słyszéć, że nié ma tak wielkiéj odrazy, prowadzić rzemiosło rabusia morskiego. Wstręt budziło we mnie jego towarzystwo. W wolnych godzinach, kiedy wszyscy z pracy wypoczywali, ja tylko sam oddawałem się jéj z całém natężeniem, aby zebrać kwotę na okup z niewoli. Tęsknota do ojczyzny, do starożytnego moich ojców siedliska, do ubóstwionéj Izoli, jak i niewygasła nigdy żądza wolności, podwajały siły moje i zagrzewały mię do wytrwania, kiedym już na siłach upadał.

Nakonice wybiła godzina mojéj wolności, ujrzałem znowu moję ojczyznę! Zamiarem moim było udać się do Paryża i tam nowego szukać zajęcia, ale nim to uskutecznić miałem, niepowściągnioną uniesion tęsknotą, zamyśliłem raz jeszcze ujrzéć zamkowe wieżyce gniazda mojego, i w ich cieniu marzyć o mojéj Izoli. Również i ta myśl kiérowała w te miejsca kroki mojémi, że chciałem skłonić rodzinę Menarda Cassandre do przesłania okupu i zdjęcia Menardowi kajdan niewoli, które on własnémi siłami zdjąć nie zdołał; oddany bowiem nałogowi pijaństwa, dla dogodzenia swojéj żądzy, trwonił wszelki zarobek. Temuto nałogowi winienem, że jego pierścień ślubny na mojéj spoczywa ręce, za lichy pieniądz kupiłem od niego ten drogi zakład miłości Izoli.

Gdym się z myślami wadził, jak mam sobie postąpić, czy mam się ukazać oczom Izoli, w téjże saméj chwili, jakby zesłana zjawia się ona sama jak anioł zbawienia! Nim myśli moje zebrać zdołałem, już spoczywała w mojém objęciu, nazywając mię swoim małżonkiem i okrywając najczulszémi pieszczoty. Zanim więc kłam powstał w mojéj duszy, już się pojawił jego skutek, już przybrał ciało urzeczewiszczenia i ogarnął mnie zdradnémi sieci, Izola była mi aniołem zbawienia, ale oraz wysłańcem pokusy. Niemógłem się jéj oprzéć! Ja tułacz miałem teraz gdzie złożyć głowę, ja wygnaniec miałem rodzinę, ja żebrak miałem dostatek i dobra, a nadewszystko miałem czule kochającą istotę!

Cztéry lat przeżyłem na łonie szczęścia, ziarno kłamstwa nie zniszczało, rozkoszne, piękne wydało kwiaty, w które się niebaczny stroiłem niepomny: że lada powiéw, one opadną, a ja znowu osamotnionym tułaczem zostanę... Ja sam tylko dźwigam brzemię téj przewiny na sobie, niechże mię tylko samego i kara dosięgnie. Izola jest niewinną, jam ją podszedł podstępem, gdyż nie wywiodłem jéj z obłędu, ona stała się ofiarą mojéj zdrady. Teraz czekam wyroku.«

W ciągu téj mowy z opartą na krześle głową, klęczała Izola na ziemi i zdawała się nie zważać na słowa Menarda, lecz gdy skończył opowiadanie swoje, podniosła się z ziemi, a przystąpiwszy do obżałowanego, uroczystym rzekła głosem:

»O, nie Menardzie, dość już téj obłudy, nie kalaj ust twoich kłamstwem. Słuchajcie mię sędziowie i wszyscy tu obecni, słuchaj mię rodzino, słuchaj mię niegodny mężu, jam równéj a nawet większéj kary godną, niż Menard Rouillé. Nieraz w jego objęciu, przy jego sercu, powstawała myśl we mnie, że on nie jest małżonkiem moim, jego łagodne obejście się budziło we mnie to złowrogie przeczucie, ale miłość moja przygłuszyła ten głos tajemnéj przestrogi.

Kochałam go nad wszelki wyraz, już sama myśl, że się z nim rozłączyć przyjdzie, przerażała mnie śmiertelną okropnością. Wkrótce świętsze połączyły nas węzły.

Tajemne wyrzuty mojego sumienia koiłam tą myślą, że jeźli grzeszę przeciw ustawom ludzkim, w obliczu Boga znajdę przebaczenie, tyle bowiem lat nieobecności męża, oswoiło mię z tą myślą, że nie jest już więcéj przy życiu.—

Ale przed kilką miesiącami znikło i to złudzenie, którém sama siebie oszukać chciałam. Menard wyznał mi, że mój mąż żyje. Mimo to wyznanie nie mogłam się z nim rozstać, byłam niewysłowioną siłą przykutą do jego boku. Gdy Menard dla ulżenia swemu sumieniu chciał posłać okup nieszczęsnemu więźniowi w Algierze, sama odwiodłam go od téj myśli, bo cóżby się było stało z naszą miłością, gdyby Cassandre powrócił? Jam więc kary godniejszą. Oto przed chwilą chciałam popełnić krzywo-przysięztwo, a ta szlachetna dusza Menarda Rouillé, nazywa mię niewinną? O, jam zasłużyła na karę i razem z nim chcę ją ponieść bez szemrania. Wydajcież wyrok na nas oboje.«

Margrabia de Rouillé rozczulony témi dowodami miłości, wziął ją w swoje kajdanami obciężone ramiona. Całe zgromadzenie miało łzy w oczach, serca wszystkich obecnych biły spółczuciem dla nieszczęśliwych kochanków.—

Prawdziwy Menard Cassandre objął znowu w posiadłość zamek i przyległą majętność, a na fałszywego Menarda i wiarołomną Izolę wydano wyrok śmierci, a za potwierdzeniem królewskiém miano przystąpić do spełnienia wyroku.

Ale Ludwik XIV. pobłażając uczuciu miłości, które główną obojga stanowiło przewinę, łagodzi wyrok sądowy, skazuje Menarda na galery, a Izolę całkiem ułaskawia z tym wszelako warunkiem, aby powróciła do męża, jeźli ten ją przyjąć zechce.

Wyrok ten przeraził Izolę więcéj, niż sam cios śmiertelny! Z radością chciała iść na śmierć, ale przy boku swojego Menarda, a teraz ma go widzieć w kajdanach przykutego do kajdan podłych zbrodniarzy, dla niéj ma on nosić piętno hańby, podczas gdy ona ma wrócić w objęcie nienawistnego jéj męża! Na wszelki rodzaj śmierci była przygotowaną, nieraz we snach widziała już krwawy topor nad swoją głową, a nie lękała się tego widoku, bo razem z Menardem wstępowała na rusztowanie, z tym Menardem, któremu zaprzysięgła miłość na ławeczce Izoli, nad kolébką dziecięcia, który wrósł w jéj tkliwą duszę. Tak się już była oswoiła z tą myślą, że razem z Menardem umierać będzie, iż przed wydaniem królewskiego wyroku, o niczém nie myślała więcéj, jak tylko o swoich dzieciach, które zostaną sierotami!

Śród dumań i trosek o losie dzieci, zastał ją wyrok królewski. W rozpaczy szalonéj biegnie do sędziów, zaklina ich o wykonanie piérwszego wyroku, obejmuje kolana Menarda Rouillé, któremu właśnie wyrok ogłoszono, i zaklina go głosem najserdeczniejszéj boleści. »Nie maszże żelaza, aby ukrócić moje męczarnie? O, uderz w te piersi, nie daj mi umiérać w upodleniu i hańbie! Zlituj się mojéj rozpaczy, i przetnij pasmo mojego życia!«

Menard blady i niemy zatrząsł w odpowiedź kajdanami. Izola go zrozumiała: Aby przekuć żelazo kajdan na oręż, trzeba mieć wolne ręce!

Nazajutrz była Izola spokojna, milcząca, a wieczorem miała wrócić w zamek Rouillé; aby zapłakać nad swoją własną niedolą, już w jéj oczach i łez nie stało, wszak tyle już łez przelała za swoim kochankiem, wszak w nocy słyszała brzęk kajdan w ciemnicy więzienia i poznała po ich dźwięku, że to kajdany Menarda, które on z sobą powlecze na galery!

Cassandre de Rouillé chciał o wszystkiém zapomnieć, wzywał ją do swego boku, jeźli żalem i pokutą zmaże przewinę swoję. Ale w téj chwili żal nie miał przystępu do serca Izoli; dawniéj, w chwilach szczęścia, nieraz żal i skrucha ozwały się w jéj piersi, ale teraz — zmartwiała na wszystko, jedną połową należała już do innego świata! Opuszczając więzienie, nie czuła ani radości, ani boleści. Chciała sama udać się do zamku Rouillé, ale przyjaciele dodali jéj kilku ludzi.

Wieczór był piękny, ale czerwono-zachodzące słońce, zapowiadało burzę. Srożąca się walka żywiołów wtórzyłaby zgodniéj sercu Izoli, niż ta jednostajna cisza w powietrzu! Suchém okiem patrzyła na wieżyce zamku, żadne westchnienie nie wydarło się z jéj piersi na widok przyszłego jéj grobu! Ale gdy doszła ławeczki Izoli, jedynéj powiernicy tylu rajskich chwil szczęścia, siły ją opuściły, nadmiarem wspomnień zwalczona, pochyliła się bezwładnie na ziemię.

Gdy Izola w tym stanie otrętwienia przez długą chwilę zostawała, zagrzmiało okropnie, całe niebo zażegło się przeraźliwym płomieniem, straszliwie jasno zaświéciło w powietrzu, ziemia od gromu stęknęła jakby się w swoich rozpękła posadach! Omszone zamczysko Rouillé, które przez tyle wieków stawiło czoło zhukanym żywiołom, spłonęło, zachwiało się w swoich głębiach; wysokie wieże pochyliły się, a przeciwnémi w różne strony parte siłami, runęły z straszliwym hukiem i łoskotem, śląc w niebo tumany kurzu i pyłu!

Cassandre wraz z rodziną znaleźli grób pod stosami gruzów. Byłżeto piorun, który uderzył w prochownię?.... Różne są o tém wieści. — To pewna, że widziano jakiegoś człowieka skradającego się pod wieczór w około zamku; twierdzą także, że tenże człowiek rzucił rozpalony lont w skład prochu. Miałoż się niebo lub margrabia Menard ulitować nad losem Izoli i uwolnić ją od pożycia z nienawistnym człowiekiem?... Trudno o tém z pewnością wyrokować. To jednakże niezawodna, że margrabiego nie było pomiędzy więźniami na galérach, ni też kiedykolwiek o nim we Francyi słyszano.

Izola uszła okropnéj śmierci; po okrutnéj stracie dzieci i wszelkich nadziei na świecie, nie pozostało jéj nic więcéj, jak tylko płakać na ruinach dawnéj siedziby swojéj!

Przysłowia gospodarskie

jako wyjątek z dokładnego zbioru Apolinarego Huppena, wynoszącego przeszło 4000 przysłowiów.*)

Na świętego Marka późny owies, rana tatarka.

Na świętego Wojciecha, kobyla pociecha.

Albo: Na świętego Wojciecha, już w polu pociecha.

Święty Wincenty napełnia winem beczki.

Aquilo w marcu to nam pomoże, że nam nawieje do kraju zboże.

W styczniu wiele wody — nié ma z wina wygody; — mało wody — dobre gody.

Lepiéj na Konrada głodnych wilków gromada, niźli chłopa w koszuli (widzieć).

Marzec uparty stroi z pługiem żarty, a kwiecień przychodzi i w chléw go zawodzi.

Wczesny grzmot, późny głód.

Marzec zielony, nie dobre plony.

Kwiecień suchy, nie daje dobréj otuchy.

Na św. Jura, schowa się w życie kura.

Około świętéj Hanki, zimne poranki.

Po św. Urbanie, o zbożu gadanie.

Jak długo żaby przed Markiem kruczą, tak długo potém milczéć muszą.

Mokre Zielone Świątki, dają tłuste Boże narodzenie.

Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto jako gaj.

W maju w życie łysina, tymf nie nowina.

Na Bartłomieja dojrzałe grono, dobra nadzieja.

*) Umieszczając tę pracę młodego zbiéracza, mamy tu oprócz zaznajomienia naszych ziemianów z zasadami gospodarskiemi przodków w krótkie ujętemi słowa i tę myśl na uwadze, że przez to dopełniamy życzenia redaktora *Przeglądu warszawskiego*, który się zajmuje wydaniem słownika przysłowiów i prowincyjonalizmów.

Pogoda na św. Mateusza, cztéry niedziel się nie rusza.

Jak w wilczym miesiącu, tak w marcu (podług rachunku kmieci zaczyna się wilczy miesiąc w trzy dni po św. Marcinie.)

Zielone Boże narodzenie, a Wielkanoc biała, z pola pociecha mała.

Św. Szymona i Judy, nabawi cię pewnéj grudy.

Spyta cię luty — a masz ty buty?

Albo: Luty — obuj buty.

Na św. Jan (Szczepan), każdy sobie pan.

Święty Marcin na białym koniu jeździ.

Święty Maciéj zimę traci, lub bogaci.

Przyjdzie kwiecień, ostatki z gumna wymieciem; przyjdzie i maj, przecie bydłu daj.

Na św. Walka, nié ma pod lodem balka.

Na kwiecień lada z czego wieniec upleciem.

Kto sieje groch w marcu, będzie go gotował w garcu, a kto w maju, w jaju.

Nie trzeba bydlęciu świątku, byle nie znało i piątku.

Do św. Ducha trzymaj się kożucha, a po św. Duchu chodź jeszcze w kożuchu.

Św. Bartłomiéj śniadanie przytłumi.

Po św. Mateuszu, każdy kiep w kapeluszu.

Po św. Franciszku, pasę na owsisku.

Gdy św. Maciej lodu nie stopi, będą długo chuchać w zimne ręce chłopi.

Św. Marek, poszedł na folwarek oglądać żytko, czy zeszło wszytko.

Święty Michał, wichy pospychał.

Na św. Wojciech, wrony z żyta nie widać.

Jeźli pola zielone gdy się Chrystus rodzi, gdy zmartwychwstaję, śnieg z mrozem kołaczom przeszkodzi.

W święty Krzyż, owce strzyż.

Kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba dészcz uprosi.

Gdzie pérz, tam gmyrz.

Mówił kleszcz, będzie deszcz.

Na św. Barbarę, włóż pudło na garę.

Na św. Grzegorza, idą rzéki do morza.

Węgierka zaświtała (oznacza słoty, jeźli jasne Karpaty, a z tąd Węgry).

Na św. Łucyję przybędzie dnia na kurzą stopę — na Nowy Rok, na zajęczy skok.

Kto śród żniwa patrzy chłodu, napatrzy się w zimie głodu.

Spyta cię zima zarazem, byłżeś dobrym gospodarzem?

Maciek zrobił, Maciek zjadł.

Na co robisz Iwanie? na wozy na powrozy.

Oko pańskie konia tuczy.

Dwóch głupich na świecie: pan co niechętnego sługę trzyma, — i sługa co niechętnemu panu służy.

Kto nie jada jeno raki, flaki, żabki a ślimaki,
Kto nie chowa tylko kozy, kaczki, koty,
Nie sieje oprócz jarmurzu, jarkę a tatarkę,
Do tego ma żonę Barbarkę—
Krowami orze;
Nie pytaj go jak się ma, jedno jeźli jeszcze
żyw niebożę?

LITERACKIE DROBNOSTKI, UŁOMKI, CIEKAWOŚCI, i t. d. ZEBRAŁ i SPISAŁ D. Z.

(Ciąg dalszy.)

W szesnastym wieku żyła w Bononii Bettina, córka sławnego prawnika Jana Andreae, zamężna za profesora Gregorio. Była ona tak uczoną, że gdy małżonek jéj albo dla słabości, albo z innéj przyczyny nie mógł dawać prelekcyi prawa, ona go wyręczała i publicznie z katedry z zupełném zadowoleniem licznych słuchaczów naukę prawa z głęboką wiadomością wykładała.

Kwit literacki. — Niżéj podpisany francuzki żurnalista, wydawca pisma czasowego: *Mercure universel* w Ratyzbonie, zeznaję, jako pięćdziesiąt kijów słusznie zasłużonéj kary odebrałem, za to, że w Żurnalu moim z dnia 1go. i 17go grudnia roku 1800 Francuzów okłamałem i spotwarzałem. Na co dla lepszego świadectwa podpisuję się — Paoli, w Passawie dnia 22go czerwca r. 1801. — Zgodno z oryginałem: Szef szwadronu i adjutant Sefevre. — Komendant miasta Chancel. — A cóż panowie Redaktorowie? Nié ma który ochoty ubiegać się o podobną nagrodę?

Papież Mikołaj V., ofiarował za hebrejską ewanielliję św. Mateusza pięć tysięcy czerw. złotych.

Sławny z swych wiadomości, podróży i historyi Roseli, podał 1716 roku prośbę do magistratu utrechtskiego, prosząc o professurę języków oryjentalnych albo też matematyki, filozofii, historyi, teologii, albo nareszcie o pozwolenie założenia kawiarni. Człowiekowi, o którym powszechne było przekonanie, że każdą z tych katedr z chlubą zastąpić jest w stanie, udzielono nareszcie pozwolenie założenia szynkowni.

Gdy Jerzy pierwszy elektor hanowerski po śmierci królowéj Anny koronę angielską osiągnął, winszował mu pewny dworzanin szczęścia, że posiada dwa tak znakomite kraje, Wielką Brytanniję i księstwo brunszwicko-lineburskie. »Winszuj mi wpan raczéj szczęścia«, odpowiedział król, »że w tych państwach posiadam dwóch tak znakomitych mężów: Newtona i Leibnitza.«

Fenelon, tak opowiada jego wieloletni stołownik Ramsey, zwykł mawiać: Kocham moję rodzinę więcéj niż siebie, moję ojczyznę więcéj, niż moję rodzinę, naród ludzki więcéj, niż moją ojczyznę, jestem bowiem więcéj Francuzem niżeli Fenelonem, a więcéj człowiekiem niżeli Francuzem.

W połowie upłynionego wieku, zcięto przy Stotford drzewo morwowe, które sam Szekspir miał zasadzić. Zebrało się liczne zgromadzenie wielbicieli wielkiego poety, i płacili za kawałek tego drzewa od 500 do 1000 funtów szterlingów. — Gdy mieszkańcy Stotfordu Garrikowi prawo obywatelstwa nadali, przesłali mu patent w puszce z tegoż drzewa i jedno z własnoręcznych pism Szekspira.

Pewnego czasu zebrało się mnóstwo komarów, i obsiedli wierzchołek starego grzyba. »Słuchajcie«, rzekł jeden z najstarszych, »słuchajcie! widziałem wschodzącą zorzę, a teraz widzę koniec świata.« Właśnie zmierzchało się po zachodzie słońca. — Nie możnaby też to samo napisać na wielu, wielu książkach, któremi nas teraźniejsi literaci darzą?

Kardynał Retz rzekł do pana Menage: »Proszę cię, zrób téż to, ażebym się cokolwiek mógł znać na poezyi, ażebym te, które mi przynoszą, mógł przecież ocenić.« — »Byłabyto nudna praca, Wasza Eminencyja i tak mało masz czasu«, odpowiedział p. Menage: »Jeżeli będą Waszéj Eminencyi czytać wiérsze, śmiało możesz wyrzec, że nic nie są warte, i to będzie, po największéj części, sprawiedliwym wyrokiem.«

Rzadkie łacińskie i francuzkie niektóre dzieła z powodu, że ich mała liczba drukowana była; jako to: *Merard de St. Just poësies 3 part. in 1 Vol. gr. 8. Parme* 1770 jeden tylko egzemplarz na holenderskim papierze. — *Dufresne études sur le credit* 8. 1784, jeden egzemplarz *à l'usage de l'auteur.* — *Servet Christianismi restitutio 2. V. 4.* z oryginalnéj edycyi, która wraz z autorem w Genewie za wolą Kalwina spaloną została, ma być tylko dwa egzemplarze, jeden w Wiedniu w cesarskiéj biblijotece lepszy, a drugi w Paryżu. — *Swammerdamm specialia experim. et artificia fol.* tylko dwa egzemplarze miały być wytłoczone. — *Raynal hist. etc. dans les 2 indes.* W Paryżu Raynal tylko trzy egzemplarze dał wydrukować, z tych jeden dał drukarzowi, drugi sobie zatrzymał, a trzeci posłał do Genewy, gdzie się dzieło to drukować miało, ażeby zamiast manuskryptu tamtejszemu drukarzowi służył. — *Bossuet expos. de la doctrine de l'eglise cath.* 12. *Par.* 1681. Ma się tylko trzy egzemplarzy znajdować. — *Baruel Bauveet actes des philosophes* 8. *Par.* 1807. Chociaż więcéj egzemplarzy wydrukowano, wszelakoż z powodu, że wytępione zostały, tylko 4 lub 5 ma się znajdować. — *Godeau prieres* 1643. Sześć egzemplarzy. — Dzieł, których tylko po 12 egzemplarzy drukowano, znaczniejsza jest liczba. *Concilium tridentinum fol. Romae* (Paul Manut.) 1564, chociaż miało dwie edycyje, jednakże tylko 12 egzemplarzy teraz znajdować się ma. — U nas w Polszcze miało wyjść dzieło w Krakowie: *Nacoceli de officiis libri 3. fol.* 1659, którego tylko trzydzieści egzemplarzy odbito. — W Galicy wydrukowana jeografija tegoż kraju, w Przemyślu 1786 r. należy do rzadkich książek, ponieważ autor hrabia Kuropatnicki tylko 200 egzemplarzy wytłoczyć kazał, i te przyjaciołom swym rozdawał, również rzadką jest książeczka: *Gott erhalte Franz den Kaiser*, w siedmiu językach, albowiem tylko sto kilkadziesiąt egzemplarzy r. 1831 w lwowskiéj stauropigijańskiéj drukarni wydrukowano i rozdano.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 44. i obejmnie: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skréślony przez Kazimierza Józefa Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Sadzenie ziemniaków przez ablegry, przez Dra Józefa Lumbe, nauczyciela gospodarstwa wiejskiego w Pradze. 3) O utrzymaniu owiec latem i zimą na stajni. (Dokończenie). 4) Wiadomości czasowe: *a*) Młyn parowy Towarzystwa wyrobów zbożowych w Warszawie. *b*) Co uprawiać na gruntach w solne części obfitujących? *c*) Czyszczenie stołowych nożów i widelców.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numera 28. i 29, zawierają następujące artykuły: 1) Przegląd pierwszego półrocza *Biblijoteki warszawskiéj* z roku 1842.

2) Encyklopedyja i Metodologija prawa (Ciąg dalszy), 3) Loika. 4) Filozofija natury. 5) Filozofija ducha, przez Mazura z Płockiego. 6) Wspomnienie z podróży po Litwie, Rusi Czarnéj i Rusi Białéj, przez tegoż samego autora. 7) Piśmiennictwo francuzkie.

Czyński, kapitan polski, jest spółpracownikiem dziennika *Journal des Debats.* Jemu jest przydzielona redakcyja wypadków dziennych w Paryżu.

Z Warszawy *die* 11. *Martii* 1788. — Mości panie Wojewodo Bełzki. — Na list WPana dnia 24. *Februarii* łepiey odpowiedzieć nie mogę, jako donosząc, że gdym Interes Córki i wnuka WPana doprowadził do aktualnie agitującego się kompromissu, skutek Jego musi koniecznie przybliżyć koniec szkód przez nich niewinnie ponoszonych dotychczas: Y ze starań moich w tey mierze słodycz znajdowałem dwoistę, raz dopomagając sprawiedliwości, a drugą dogadzając gotowej zawsze chęci Moiey do okazywania szacunku, y affektu Mego dla WPana. — Stanisław August, król *(m. p.)*— Oryginał tego rzadką poufałością królewskiej osoby z swoim poddanym zdumiewającego listu, znajduje się w ręku Apolinarego Huppena.

Muzeum marynarki w Luwrze, składające się z trzynastu sal razem połączonych, niedawno zostało otwarte. W piérwszéj znajduje się przerys miasta Tulonu w płaskorzeźbie: okręty na ligarach i rysunki; w drugiej plan Brestu i kilka całkiem gotowych w żagle zaopatrzonych okrętów; w trzeciej plan Lorientu, kilka fregat i marynarskie narzędzia; w czwartej widzieć można model najstarszego linijowego okrętu francuzkiej marynarki, zwanego: *Ocean*; w piątéj kilka mniejszych modelów; w szóstéj zwanéj: »Salą dzikich«, wznosi się wielki słup złożony ze szczętów przy rozbiciu okrętu Lapeyrouse, oprócz tego, zdobi tę salę rzadki zbiór różnych rzeczy, które pochodzą z ręki dzikich ludzi; w siodméj sali są ustawione modele pokładów okrętowych i rozmaitych maszyn; w ósméj widzieć można nader kosztowny model Valmy z śrebra i kości słoniowéj; w dziewiątej narzędzia do żeglugi i narzędzia jeograficzne; w dziesiątéj zbrój okrętowa i maszyna parowa dla statków pocztowych; w jedénastéj plan miasta Rochefort, galeryje Ludwika XIV. na małą skalę podziwienia godne płaskorzeźby, które niegdyś tę galeryję zdobiły, w całéj oddane wielkości; w dwunastéj modele floty francuzkiej z r. 1792 do r. 1814, popiersia sławnych marynarzy i morskie malowidła; nakoniec w trzynastéj lokomotyw do kolei żelaznéj.

Woźnica rossyjskich modnisiów. Bogaci modnisie rossyjscy szukają w tym chluby, aby ich woźnica najstrojniej był ubrany. Zwykle najdorodniejszych z pomiędzy poddanych wybiérają do téj służby. Ubiór woźnicy według najnowszéj mody, jest następujący: Ma on na sobie z drogiéj materyi perskiéj, robionéj z niefarbowanego jedwabiu, nader kosztowną koszulę, na którą bierze najcieńszy kazimirkowy kaftan z wyłogami z najdroższego aksamitu. Kaftan ten jest na piersi otwarty, umyślnie dla tego, aby widzieć jedwabną w najmniejsze fałdy układaną koszulę. Również i reszta stroju odpowiada temu wytwornemu zbytkowi. Buty ich z najdroższéj skóry Torszok, są przy zgięciu stopy złotem i śrébrem wyszywane, a ich włosy, broda i suknie tak mocno wonicją moszusem, że już z daleka od tych wymuskanych lalek trzeba uchodzić, aby nie wpaść w mdłości.

Czarne pantalony. *Revue des theâtres* umieściła następującą anegdotę: W zamku krolewskim Eu, miało się odbyć dramatyczne widowisko, lecz dla jakiejś niewiadoméj przyczyny, zmieniono ten zamiar, i przeznaczono natomiast koncert. Ta zmiana była tak niespodziewaną i nagłą, że wielu śpiéwaków z opery komicznéj nie wziąwszy z sobą innego ubioru procz kostiumu teatralnego, było w wielkim kłopocie z przyczyny, że trzeba było koniecznie w czarnym wystąpić ubiorze; najbardziej zakłopotał się ulubiony śpiéwak Henri, będąc bowiem dobréj tuszy, trudniej mu było wystarać się o dogodny ubior, niż innym śpiéwakom. Zkąd frak wydostał, o tém milczy historyja, ale brakowało mu jeszcze czarnych pantalonów. Z całą skrzętnością, na jaką się przy takiéj tuszy mógł zdobyć, rzucił się na wyszukiwanie tak potrzebnego garnituru, wszędzie śledził wzrokiem, aż nagle spostrzega dość otyłego sługę, którego czarne pantalijony pięknie na oko wyglądały. Z szybkością jastrzębia, który pada na wypatrzoną ofiarę, rzuca się na niego i zaklina go témi słowy: »Przez litość mój drogi przyjacielu, pożycz mi swoich pantalonów! Mój honor, moje szczęście, nawet moje życie od nich zawisło! Nie odmów mi téj grzeczności, zaklinam wpana.« W téj naglącéj przemowie pana Henri, było coś tak dramatycznego, że wzruszony sługa skłonił się do tymczasowéj zamiany swoich czarnych, na perłowe pantalijony śpiéwaka. Lecz gdy przyszło do przebrania się, pot wystąpił naszemu bohatérowi na czoło, nim zdołał umieścić się w nabytym stroju! Podczas koncertu znosił okropne męki, i ledwie mógł odetchnąć. Przytém zdjęło go politowanie, widząc swego przyjaciela Mocker, także w pożyczany frak ujętego, i wykrzywiającego twarz z bolu, gdy w chwilach uniesienia chciał śpiéwaka odpowiedniémi jestami rąk towarzyszyć. Nareszcie skończył się koncert. Henri chce się jak najprędzéj pozbyć swojéj katuszy. Po długiem szukaniu zdybuje służącego.— »Mój zacny przyjacielu«, rzecze schwyciwszy go za rękę, nie chcę nadużywać jego grzeczności, odbierz wpan swoje pantalijony«, ale służący nie miał właśnie czasu do przemiany stroju, musiał się spieszyć z danym od swego państwa rozkazem. Rozpacz śpiéwaka łatwiéj da się pojąć, aniżeli opisać. Chce się koniecznie z swojego sukiennego wydobyć więzienia, ale że mu przyzwoitość pod gołém niebem toalety zmienić nie dozwalała, więc wbiegł do poblizkiego namiotu, zaklinając służącego, aby do niego jak najprędzéj powrócił. Tu ulżywszy swoim pętom i oddawszy się zupełnéj wygodzie, czekał już cierpliwie na przybycie sługi, wtem słyszy, że ktoś nadchodzi, lecz nie byłto przychodzień w perłowych pantalijonach, ale—nie poznany w ciemności mieszkaniec namiotu; wraz zawołał Henri, kryjąc się za firankę: »Za pozwoleniem! Ani krokiem daléj.« — »A to dla czego?« odrzekł wchodzący.—»Bo jestem — z przeproszeniem wpana w negliżu.« —»Ale któż wpan jesteś?« — »Jestem Henri, śpiéwak opery, a w téj chwili nieszczęśliwy sansculota.«—»Ach mój panie bądź tak grzecznym i każ wyszukać mi tego bezbożnego sługę, który mię w taki kłopot wprowadził!«—»Bardzo chętnie«, odrzekł z uśmiechem nieznajomy, którym nikt inny nie był—jak sam książę Aumale. Łatwo sobie wyobrazić przestrach śpiewaka, gdy księcia poznał, nie mógł znaleźć słów do usprawiedliwienia swego, ale książę Aumale śmiejac się serdecznie z tego zdarzenia, przez zwyczajną dobroć swoję kazał przywołać tak tęskliwie oczekiwanego sługę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.